

PODRÓŻ
UCZONEGO
DOKTORA
LEONARDA
I JEJ
PRZYSZŁEJ
KOCHANKI,
PRZEPIĘKNEJ
ALCESTY,
DO SZWAJCARII
SŁOBODZKIEJ

MIKE JOHANSEN

PODRÓŻ UCZONEGO
DOKTORA LEONARDA
I JEGO PRZYSZŁEJ
KOCHANKI,
PRZEPIĘKNEJ
ALCESTY,
DO SZWAJCARII
SŁOBODZKIEJ

Mike Johansen

Przekład
Katarzyna Gach

Tytuł

Podróż uczonego doktora Leonarda i jego przyszłej kochanki,
przepięknej Alcesty, do Szwajcarii Słobodzkiej

Autor

Mike Johansen

Wydawnictwo

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

Przekład

Katarzyna Gach

Okładka

Łukasz Kowalski

Redakcja

Anna Chyckowska

Korekta

Elżbieta Morawska

Copyright by Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

ISBN: 978-83-969818-3-7

Poznań 2024

Coelum, non animus mutant qui trans mare currunt¹

...only dull, thick-headed, loquacious idiots. Thus, landscape cannot be adequately treated in the literature in the usual descriptive way. But if some writer should by chance come across the idea of shifting the reciprocal roles of the landscape and the acting persons, it would be quite a different thing. The persons, treated as mere cardboard puppets, as moving decorations can nevertheless impart proper movement to a description of a landscape (because of the natural tendency of the reader to follow their ways, as if they were real living people) and so a “Landscape-novel” could be made quite readable. But such a thing has still never been deliberately attempted.

¹ Listy Horacego (1,11,27).

PROLOG

I

PODRÓŻ! ПОДОРОЖ! ПУТЕШЕСТВИЕ! WANDERUNG! TRAVEL!
VOYAGE!

— Nawet kamień ten – popękany i senny, leżący między dwoma starymi dębami przy krętym brzegu Dońca, po którym podróżują bardzo aktywne rudawe mrówki – też podróżuje.

Człowiek, nie kamień. Człowiek chce podróżować chociażby wokół własnego mieszkania, a tym bardziej w dalekie kraje.

„Ten, kto dziś, wkrótce lub w tej chwili nie jedzie do Indii, pozbawiony jest elementarnej ludzkiej ciekawości!” – tak powiedział pewien towarzysz, gdy zapytali go, dlaczego całe życie spędza w swoim pokoju. Powiedziawszy to, nie wstając z łóżka, ze stosu książek wyciągnął obszerny katalog karabinów gwintowanych, powtarzalnych i automatycznych, firmy Webley&Scott, i poprosił, by więcej mu nie przeszkadzać.

Mówią również, że grupa wesółych młodych ludzi, feudalów i burżuazji, podróżowała po terytorium byłego Imperium Rosyjskiego, by wnikliwie i szczegółowo zbadać, która zakąska jest najlepsza do wódki. W każdym punkcie swojej podróży upijali się, zagryzali po miejscowemu, byli odprowadzani przez swoich lokajów do pokoi, a po nocnym odpoczynku skrzętnie zapisywali wrażenia z zakąski oraz to, w jaki sposób ułatwiała ona akt picia. Niestety rewolucja nie umożliwiła im publikacji wniosków, więc ludzkość nigdy się nie dowie, jaka zakąska do wódki najlepsza: certa azowska, śledź kaspijski czy może pielmieni sybirskie. Wątpliwe, że pozbawiona estetyki

użyteczna władza radziecka da pieniądze na kontynuację tej naukowo-badawczej pracy.

Dziś bywa i tak, że po powrocie z zagranicy ludzie potrafią opowiedzieć tylko o tym, jak w niemieckich hotelach wyposażone są łazienki, jaki obiad można zjeść w Paryżu, jak ubierają się lokaje w Londynie, jak gryzą pluskwy w hotelach Hiszpanii. Tacy ludzie jednoczą się z europejskim proletariatem w osobach prostytutek i stymulują ruch proletariacki, dając szoferowi dwie marki napiwku, by jechał szybciej. A do radzieckiej ojczyzny wracają w europejskich spodniach, z kieszeniami napchаныmi zapobiegawczymi środkami z gumy.

Cóż, i to jest podróż. Tylko morską podróż dla takiego obywatela zorganizowałbym jak najtaniej.

Napoiłbym go wódką i dałbym mu zakąskę: po jednej oliwce na szklankę. Później zdjąłbym z niego europejskie spodnie i posadził zadem w beczce ze słoną wodą. Następnie rytmicznie bujając nim w beczce, czekałbym, aż zacznie podróżować po morzu podczas dziesięciostopniowego sztormu. Jego własne zawołania byłyby jak niecenzuralne komendy kapitana. Niebawem dostałby się do znanego lotewskiego portu, znanego z dawnych anegdot². „Czy nie tak, przyjacielu Rodolfo?”

Tak mówił podróżujący Don Jose Pereira do swego przyjaciela, setera irlandzkiego Rodolfa, gdy wędrowali stepem. Rodolfo, który wciąż trochę nieuważnie słuchał przemowy swojego starszego przyjaciela (dokola migotały bowiem zapachowe portrety zajęcy, a wśród nich nagle pojawiła się postać dropa, mocno wymalowana trzema zapachami, konkretna i wyraźna jak mezzotinta³, i nie było metra, na którym nie uwidaczniałyby się delikatne miniatury niezliczonych przepiórek). Rodolfo niechętnie oderwał się od kinematograficznego ekranu zapachów i oficjalnie, ale dość przyjaźnie pomachał ogonem. Zobaczywszy jednak, że Jose nie zdejmował z ramienia swego sauera, zrozumiał, że przemowa miała filozoficzny charakter i że wernisaż zapachów jeszcze nie doszedł do jego świadomości. To nie zdziwiło Rodolfa, od dawna wiedział bowiem, że Don Jose Pereira, jego starszy przyjaciel, był ślepy na zapachy do tego stopnia, że okropny, przytłaczający, trujący smród chemii, który roztaczały jego damy, nie przeszkadzał mu siedzieć z nimi w jednym pokoju, całować im ręce, nie bolała go od tych pachnidel głowa, a czasami, gdy późno w nocy odprowadzał taką damę, jeszcze długo zaciągał się zapachem, a na jego twarzy pozostawał błogi wyraz rozkoszy.

Tak mniej więcej myślał Rodolfo, zanurzając się w barwnych smugach zapachu, a Don Jose Pereira, zadowolony, że Rodolfo go wysłuchał i zgodził się z nim, mówił dalej:

² Zapewne nawiązanie do idiomu „jechać do Rygi”, co oznacza „wymiotować”, „rzygać” (przyp. wyd.).

³ Mezzotinta – stary sposób ręcznego przygotowywania form do grawerowania w metalu, przeznaczonych do głębokiego druku; wydruk za pomocą takiej formy (przyp. wyd.).

— My razem, rudy przyjacielu Rodolfie, odbywamy właśnie podróż powolną, ale po brzegi wypełnioną zapachami, obrazami i wrażeniami („Dla kogo pełną, dla tego pełną” – sceptycznie pomyślał Rodolfo, słysząc swego pana). Musisz się zgodzić, że im bardziej niespieszna podróż, tym więcej w niej detali, a im jest szybsza, tym mniej detali i odwrotnie, rodzą się uogólnienia, plany, abstrakcje i tematy filozoficzne.

Najszybszą podróż, w linii prostej, odbywa ten omszały kamień, leżący przy krętym brzegu Dońca między dwoma wiekowymi dębami. Ziemia wiezie go dokoła Słońca między planetami i wraz ze Słońcem i jego planetami sunie, czort wie gdzie, jednak bardzo daleko i szybko. Wgłębienie, w którym leży, to jego miękka kabina, a jego kamienna dusza myśli o gigantycznych, abstrakcyjnych i astronomicznych problemach filozofii.

A teraz pomyśl, jak lecieliśmy razem samolotem z Berlina do Moskwy, kierując drogę swą na te oto stepy. Nie było widać planet, a słońce stało jak milicjonier wśród błękitu przedwiosennego plosa, by wujaszkwie nie łowili karpi w czasie tarła. Słońce stało wśród błękitu plosa, a my widzieliśmy ziemię.

Ziemia ta była niczym wyrzeźbiona mapa. Nie była to ciepła, rodząca ziemia, a jakieś administracyjne spojrzenie na teren z geologicznego, topograficznego, ekonomicznego i rolniczego punktu widzenia. Mniejsze rzeki wpadały do większych, pola dzieliły się według zasady sześciopolewego płodozmianu, masywy leśne usadowiły się, jak przystało, w należytych miejscach, a ludzie niepowstrzymanie zasiedlali ziemię w określonej gęstości na kilometr kwadratowy.

Kiedy wsiedliśmy do pociągu, który miał nas już znacznie wolniej ciągnąć z Moskwy do Chersonia, ziemia ukazała się nam w dwóch naturalistycznych odsłonach. Z poziomej stała się wyprężona, z mapy geograficznej przeobraziła się w dekorację teatralną. Oglupiała nas jasnym żwirem, kamieniami wzdłuż torów, sprzed małego zacinznego jeziora odsuwała zasłonę z sosen, wyprowadzała na scenę konia, a koń rżał na łąkach, na stacjach organizowała masowe sceny przeukupek i mleczarek – szeptały głosy i dzwoniły denary padające na platformę w zapłacie za mleko. Ale pociąg ruszał i znów widać było ciągnące się niezmacone dekoracje krajobrazów – pionowa struktura ziemi.

Jeszcze wolniejsza i jeszcze barwniejsza stała się nasza podróż, gdy wsiałem na rower z workiem na plecach, a ty, rudy przyjacielu Rodolfie, wołałeś biec za mną. Z prostej droga zrobiła się kręta i kapryśna, żadne tory nie wstrzymywały lekkich kół, a ziemia ukazała nam się w dwóch płaszczyznach: wertykalnej i horyzontalnej. Susły tańczyły wzdłuż drogi, umykając do nor, pachniała macierzanka, chrząszcz poważnie przechodził przez koleinę, a ja, kierując na niego koło z zadowoleniem, zakończyłem jego życie, ćwierkały wróble i niczym garść prosa, umykały przed rowerem. Aż raptem wzmógł się zgłęk: opony na szlaku syczały, klucze, jak gdyby metaliczne

źródło, dźwięczały w sakwie, bylica wplątywała się w szprychy i brzękała, manifestując ruch koła.

Teraz zostawiliśmy rower w chutorze i odeszliśmy od drogi. Suniemy całkiem powoli, znikły wszystkie struktury i pozostała jedynie cielesność, życie cielesne. Już nie koła, a same nogi me depczą pył i trawę, wzrok mój i słuch, i niuch, pełne żywej siły, którą próżno mierzyć. Ledwo-ledwo suniemy przez stepy.

Przewagi-wagi tracimy własną wagę na stepach. Powoli-woli zagłębiamy się w wielką wolę stepów. Po twych wyprężonych plecach, po twych płonących oczach, po twym żwawym ogonie widzę, rudy przyjacielu Rodolfie, że już pewnie wkroczyłeś w step. Twoje dzieciństwo, lata surowej nauki, porządne i nienaganne wychowanie zniknęły w słonecznym stepie niczym sen. Ty, smukły, ironiczny Irlandczyku, stałeś się dziki i zapolowałeś wśród pól.

II

Fakt ten, że Hiszpan Don Jose Pereira, z zawodu tyranobójca, i jego młodszy przyjaciel i kompan, rudy seter Rodolfo, trafili na tawryjskie stepy, ma, jak się złożyło na tym i tamtym świecie, swoją przyczynę. Nic nie dzieje się bez przyczyny – to się nazywa prawo przyczynowości.

Co prawda, są ludzie, którzy tego prawa nie uznają, a nawet po prostu nie znają. Jeden znany krytyk, dla przykładu, zapewniał mnie, że dobry styl, błyskotliwa konstrukcja fabuły, napięcie dramatyczne, które były dla burżuazji ciężką pracą, same zwały się pod pióro proletariatu, jak tylko proletariatus, zaznajomiwszy się z polityczną gramotą Kowalenki⁴, zabierze się za pisanie opowiadania. Co prawda, krytykiem był mizernym i na wpół szalonym histerykiem, jednak miał szczęście, bo wydał już wiele znaków i wzięli się za niego porządnie dopiero w ostatnich czasach.

Jednak większość ludzi zna i szanuje prawo przyczynowości, jak na przykład myśliwi: gdyby myśliwy trzydzieści razy z rzędu nie trafił w kaczkę, opowiadając o tym, zawsze dokładnie i precyzyjnie określiliby trzydzieści różnych przyczyn, dlaczego za każdym kolejnym razem nie trafił. Taka jest niestrudzona sumienność i akuratność myśliwskiego myślenia, żaden nie zgodziłby się, aby – w celu zaoszczędzenia czasu – wskazać przyczynę jedynie tych rzadkich przypadków, kiedy to kaczkę trafił. Fakt ten, jego dotyczący, wyjaśnień nie wymaga, on również jego przyczyn szukać nie chce.

A ja odwrotnie, wręcz muszę sprecyzować, dlaczego Pereira i Rodolfo, tyranobójca i rudy seter z dalekiej Hiszpanii trafili na stepy.

⁴ Mowa o: P. Kowalenko, *Polityczeskaja gramota*, Gubizdat, 1923 r. (przyp. tłum.).

Obydwaj pochodzili z arystokracji. Babcia Rodolfa, gdy była jeszcze młodą złotawą suką, otrzymała na wystawie wielki złoty medal, taki sam złoty medal zdobyła na próbach terenowych dla psów. Babcia Don Jose Pereiry nie weszła w posiadanie złotego medalu, gdy była jeszcze młodą złotowłosą dziewczyną, jednak wyszła za mąż za dziadka Jose Don Juana Pereirę i w taki oto sposób weszła do starego, acz bardzo biednego, arystokratycznego rodu. Jedyne wspomnienie dawnych luksusów, złoty rodzinny medalion Don Juan Pereira, szkolny nauczyciel własnymi rękami powiesił na szyi swojej narzeczonej. W tym medalionie przez stulecia przechowywana była kropla krwi, wytoczona przez Filipa V Hiszpańskiego z ciała prapradziada Don Juana Pereiry. Medalion został później sprzedany, a kropla przypadła w spadku naszemu bohaterowi, wspierając go na świętym szlaku tyranobójstwa.

Zanim wyjechał do stepów, Don Jose Pereira uknuł plan zabójstwa generała Primo de River, tyrana Hiszpanii, faszystowskiego dyktatora. Wcześniej jednak, w imieniu zarówno organizacji, jak i osób prywatnych, zdążył zabić dwóch generałów i jednego admirała. Ponieważ jednak generalowie ci byli już starzy i nie pełnili służby, a z admirałem Don Jose miał osobiste porachunki, uważał, że dopiero wtedy z godnością zakończy swą karierę, gdy zabije prawdziwego tyrana, a później zawisnie na szubienicy. Tak się z konieczności historycznej złożyło, że Don Jose Pereira, nie będąc członkiem żadnej organizacji, postanowił zabić hiszpańskiego dyktatora. Czuł jednak ogromną pokusę, by wcześniej wybrać się na polowanie. Miał bowiem pewność, że nie zdoła uciec po zabiciu Primo de River. Wziął więc mapę i zaczął szukać miejsca na ostatnie polowanie.

Aby samemu nie ryzykować wyboru, Don Jose zawołał swojego przyjaciela Rodolfa i pokazał mu mapę. Rodolfo, który niejednokrotnie wykazywał się ponadprzeciętną intuicją w kwestiach myśliwskich, pacnął nosem w dalekie stepy.

Tego wieczora Don Jose Pereira zamówił dla siebie i Rodolfa bilety na pociąg. Następnego dnia rano udało mu się znaleźć na barcelońskim bazarze *Gramatykę języka ukraińskiego* Syniawskiego. Nie rozstawał się z nią, aż dotarł do stepów. Bardzo mu się podobały dźwięki tego języka.

„Vil-vola, kin-kona, pip-popa...”, skandował Don Jose w rytm stukotu wagonu.

„Dim-domu, kin-konu, bib-bobu...”, deklinował osobliwe i dźwięczne słowa, które przypominały mu dźwięk barcelońskich dzwonnicy. Potem zaczął układać zdania.

— W czys-tym po-lu na skraju drogi ja spo-ty-kać bę-dę... dziad... dzia-da i dawać mu bę-dę kęs chleb... chleba.

„Dziad bę-dzie jeść chleb i to-czyć bę-dzie koleb...”

I Don Jose ułożył wiersz:

„Opuściłem Barcelonę,

— len-lnu, ród-rodu,

Gdy zobaczę tę kobietę

— Lód-lodu, miód miodu”.

III

Była już połowa sierpnia, a Don Jose Pereira i jego przyjaciel, rudy seter Rodolfo, nadal szli przez stepy. Było samo południe i słońce stało w zenicie. Szli wprost na wieżę triangulacyjną, za którą zaczynały się kacze tereny. Tak powiedział chersoński gospodarz goszczący Don Jose, chłop Sereda. Don Jose i Rodolfo byli w połowie swojej pieszej podróży pośród dalekiego stepu.

Step był bardzo szeroki, gdzie okiem sięgnąć był step: na wprost, z boku i z przodu. Był niczym otaczająca ich, okrągła i niekończąca się szajba. Ci, którzy żyją w górach, na wzgórzach, na wysokich brzegach rzek i w wilgotnych lasach, idąc tędy, w wiecznym pierścieniu, nie zobaczyliby stepu. Nie byłoby go tu. Step jest tym, czego nie ma. Nie ma ani gór, ani gajów, ani jezior. Jest jedna okrągła szajba, nad którą majaczy mistyczne połyskliwe zmętnienie. Miedziane końce ziemskiej szajby stanęły milcząco, a po nich, jak po szynach, krążą obręcze horyzontu. I trzeba było, by podróżny doszedł do środka dnia w stepie, by poczuł milion jego chmielowych głosów.

A w stepie był wiatr. Wiatr wydobywał się spod ziemi, spod korzeni zakurzonych, podeschłych roślin, upadał z nieba, biegł, prześcigając szum trawy, w słońcu kołysał zmętnieniem, zamierał w szepcie zeszłorocznych trocin i znów rósł: zrywał się w trawie, rozbrzmiewał niczym dzika monotonna orkiestra mongolska, huczał i zatykał uszy, szalonymi skrzydłami ocierał się o miedzianą niezłomną szajbę, dzwonił, wrzeszczał, jęczał i znów, pomału cichł, wiatr przeistaczał się w cichy szum traw, milkł i znikał w ziemi, zostawiając po sobie wyschłe lzy soloistów.

Pereira i Rodolfo szli jak we śnie. W oddali, z prawej strony zamajaczyły ogromne sylwetki ludzi chodzących wokół kolosalnych stogów siana. Ludzie kładli pszenicę na wozy, Don Jose Pereira, niezbyt biegły w polityce ekonomicznej, wziął ich za proletariat.

IV

Ja, autor tej powieści i ojciec Don Jose Pereiry oraz jego przyjaciela, rudego setera Rodolfa, tak samo jak wielu innych postaci, rzeczywistych i nierzeczywistych, z tej powieści oraz wielu rzeczy w niej pokazanych bardzo wnikliwie i dokładnie, ja, tak samo jak Don Jose, bardzo lubię i szanuję proletariat, coraz głębiej i pełniej.

Lubię i szanuję proletariat po pierwsze za to, że był moim pierwszym towarzyszem w dzieciństwie i jedynym towarzyszem, który mnie nie zdradził i nie porzucił teraz, gdy dorosłem, kiedy to inni towarzysze moich lat dziecięcych zostali gburami albo profesorami, buchalterami albo też historykami literatury.

Lubię proletariat za to, że nie zmusza mnie, bym sprzedawał swoje utwory i siebie, niezbyt bogatego i niereprezentacyjnego, nieubranego w wieczorny czarny garnitur i nienauczonego manier, nie odrzuca mnie i nie przestaje mieć mnie za swego towarzysza.

Lubię proletariat za to, że wziął mnie za rękę i prowadzi ze sobą na wyżyny historii. Szanuję proletariat za to, że jest moim wodzem i moim nauczycielem, nigdy nie brałem się za to, by się go bezczelnie uczyć. Wstydu nie miałbym, by pretendować do roli jego wodza, ja, słaby i kapryśny inteligent. Szanuję proletariat za to, że swymi księgami nauczył mnie politycznej ekonomii i filozofii, i ustami swej pracującej młodzieży nauczył mnie roli wierszy w procesie budowania. Jak i mój towarzysz proletariat lubię futbol, filmy amerykańskie, powieści przygodowe, wędkarstwo i przyrodę.

Ale najbardziej lubię proletariat za to, że jest Mistrzem, za to, że to on robi Rzeczy i właśnie dlatego tylko on może tworzyć świat. Przyznaję się, że jestem od dawna

po uszy zakochany w Rzeczach, do tego stopnia, że kupowałem nawet przyrządy, z których korzystać nie mogłem albo nie umiałem, tylko po to, bym każdego następnego dnia mógł wyjmować je z szuflady i przypatrywać się im długie godziny. Od dawna znam na pamięć dziesiątki katalogów aparatów fotograficznych, strzelb, rowerów, lornet, obiektywów – i jeśli trafilby mi się katalog sekstantów albo mikroskopów, którymi nie umiem się posługiwać, nauczyłbym się go na pamięć. Kiedy zaś piszę, pamiętam, że Mistrz mój i Towarzysz chce, bym w swym rzemiośle robił dobre Rzeczy. Mam nadzieję, że w moim niewielkim warsztacie stanę się takimże Mistrzem, jak mój towarzysz proletariat.

A ponieważ Don Jose, który sam był piękną Rzeczą, bo był wysokim, wesółym, silnym i powolnym tyranobójcą, ale sam rzeczy robić nie umiał, również szanował proletariat. Widząc ludzi, którzy kładli snopy na wozy, uświadomiwszy sobie, że jest to proletariat, polubił tych ludzi i zaczął się do nich zbliżać.

— Drogi i rudy przyjacielu Rodolfie – powiedział Don Jose. – Pamiętasz czas, kiedy i ja byłem proletariuszem, gdy wozilem węgiel do łodzi w Barcelonie? Na dworcu ładowałem na wozy czarne bryły i wiozłem je przez Barcelonetę na Muela Nueva aż do Muela di Levante, gdzie stały krążowniki. Tam zatrzymywałem konie i niosłem węgiel na łódź. Też byłem proletariuszem, mój drogi i rudy przyjacielu Rodolfie!

Rodolfo zatrzymał się i obejrzał się na Don Jose. Taka prymitywizacja pojęcia „proletariat” nie spodobała mu się, ale przyzwyczajony do dziecięcych sformułowań swojego przyjaciela, nic nie powiedział, a jedynie z lekka niechętnie zamachał ogonem.

— Pamiętasz, rudy przyjacielu Rodolfie – rzekł Don Jose, – jak wiele, wiele lat temu w Barcelonie spadł śnieg? Cały dzień wozilem węgiel na Muela Nueva, a do domu wracałem wyczerpany. Śnieg leżał na ulicach i one same płynęły wzdłuż mnie, kiedy szedłem Gran Vía del Marqués del Duero. Takie było moje uczucie, rudy przyjacielu Rodolfie, gdyby je tak włożyć w wersy ukraińskiego wiersza i ozdobić koniec każdego wersu po części oryginalnymi, a po części starodawnymi rymami i asonansami. Posłuchaj:

Gdzie są znane mi ulice? Czy idę już sam?

Za mną ciężki roboczy dzień.

— Za obrzeżem miasta – lasy,

Za nimi wrota i ich mocny cień.

Ogień dzwoni i znika w busz,

Dźwięk co wtopił się w żelazo.

Idę, nie pojmuję i nie zliczę dusz –

Już późno.

Gdzie są znane mi ulice? Czy idę już sam?

Do siebie w samotne oczy?

— Za obrzeżem miasta – lasy,

Za lasami niezmierzonych nocy.
Nie czuję nic. W czas styczniowej pory.
Zbłądziłem ja, jesienny jeleń.
Nie spadał śnieg z późnej postury,
za plecami pole i mroczny cień.

— Takie właśnie były moje odczucia, drogi przyjacielu Rodolfie – kontynuował Don Jose, – kiedy byłem proletariuszem. Czyżby i to cię nie przekonywało?

Rodolfo ponownie przystanął, ale tym razem już nie zamachał ogonem. Z długim niemym wyrzutem spoglądał na Don Jose, a ten podszedł do niego i delikatnie pogładził jego potarganą szyję za siwawymi uszami. Stali pośród stepu. Szarłat i szczodrzeniec, amaranty Hiszpanii, przemówiły pod ich stopami. Znów wzmagął się wiatr, kołysał stepami, zatykał uszy i dzwonił w duszy. Daleko po prawej stronie nieme sylwetki ogromnych ludzi chodziły dookoła stożkowych stogów siana. Don Jose odwrócił do siebie głowę Rodolfa i milcząco patrzył w jego ciemno orzechowe oczy.

— Jak panu nie wstyd – nagle powiedział Rodolfo. Jak panu nie wstyd rymować „oczy” i „nocy”!